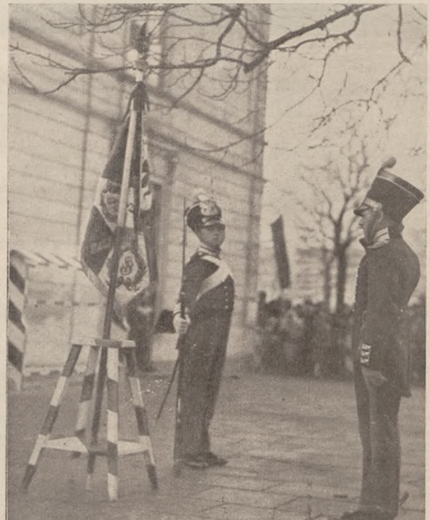
Nr. 26
CENA 50 GR

ŚWIAT DZIEWCZĄT



PREZENT NA GWIAZDKĘ
(SERWETKA)



1) *Wzór — technika.* Wzór na aplikację charakteryzuje się tem, że musi być wykonany z 2 materjałów, ponieważ sam ten wyraz „aplikacja" oznacza nakładanie. A więc zasadnicze motywy danego wzoru są nakładane na jednolite tło. Możemy wzór aplikować kawałkami innego materjału, co ma zawsze miejsce w kolorowej kompozycji, lub też wykonywać go na podwójnym materjale, z których jeden po ukończeniu roboty będzie wycięty w niepotrzebnych miejscach, a drugi zostanie tłem w całkowitym kawałku.

2) *Materjał i nici.* Otóż podany wzór będzie wykonany na białej etaminie i białym opalu. Etaminę, jako bardziej przezroczystą, przyjmiemy za tło, a opal za aplikację. Na tę serwetkę trzeba po 40 cm² każdego z wymienionych materjałów, oraz ze 2 pasemka białego atłasku Nr. 40.

3) *Przygotowanie materjału do roboty.* Ponieważ po upraniu kurczliwość etaminy i opalu jest różna, przeto przed zabraniem się do połączenia tych dwóch materjałów należy je dobrze w gorącej wodzie sparzyć i sprać krochmal, następnie wyprasować po długości materjału. Dopiero po tej czynności można złożyć ze sobą oba kawałki i na stole, ażeby materjał układał się gładko, sfastrygować po brzegach i kilka razy przez środek. Następnie można kalkować.

4) *Odrysowywanie.* Wyżej wspomniałam, że etaminę przyjmujemy za tło. Nie znaczy to jednak, że materjał ten ma być od spodu, bo w tego rodzaju aplikacjach, gdy chodzi nam tylko o walory barwy, z których silniejszym akcentujemy motyw rysunkowy, przedewszystkiem trzeba uwzględnić prawą stronę roboty, by po wycięciu niepotrzebnego materjału nie zostały strzępki. A zatem musimy go wyciąć od lewej strony serwetki i w zależności od tego wzór kalkujemy na etaminie. Przykładamy więc wzór na bibułce odrysowany w całości! (a nie w ½). Sprawdzamy, czy mniej więcej ze wszystkich stron zostaje nam materjału poza brzegiem serwetki i dopiero wtedy podkładamy kalkę pod wzór, który następnie z czterech stron przypinamy do stołu szpilkami albo pineskami. Zwracam uwagę, iż należy używać kalki tylko granatowej, a nigdy fioletowej, gdyż ta ostatnia maże się i trudno się spiera. Kalkować należy bardzo starannie, niezbyt mocno ani słabo, a przedewszystkiem cienką kreską. Do tego może nam posłużyć miękko zakończony koleczek, lub dość twardy, dobrze zatemperowany ołówek.

5) *Robota serwetki.* Następnie zabieramy się do roboty. A więc wszystkie motywy po konturze oprowadzamy raz sznureczkiem, a następnie drugi raz, a le już od strony wewnętrznej poszczególnego motywu bezpośrednio obok sznureczka łańcuszkiem (rys. 2) Ściegi te należy układać dość drobno i dokładnie z zachowaniem rysunku. Dziergany brzeg serwetki robimy również na podwójnym materjale, natomiast łamane ściegi — już po wycięciu serwetki — tylko na etaminie.

6. *Prasowanie.* Po podwójnem oprowadzeniu konturów i obdzierganiu brzegu serwetkę prasujemy po lewej stronie.

7) *Wycinanie.* Również po lewej stronie ostrożnie wycinamy tuż przy konturze motywu.

8. *Ściegi.* Następnie robimy ściegi, nieznacznie je zakończając — jeszcze.

9) raz *prasujemy* i mamy serwetkę gotową.

M. Dąbrowska.

I TO CHCEMY UMIEĆ

Wysyłanie pieniędzy przekazem telegraficznym.

Kiedy chodzi o pośpiech, wysyłamy pieniądze telegraficznie.

W tym celu kupujemy w urzędzie pocztowym przekaz telegraficzny i wypełniamy go czytelnem pismem (patrz wzór).

Za przesyłkę pieniędzy przekazem telegraficznym opłata jest taka sama, jak za przesyłkę pieniędzy pocztą (patrz „Świat Dziewcząt" Nr. 22). Doliczyć do tego trzeba: opłatę manipulacyjną gr. 20 i za każdy wyraz (imię, nazwisko, adres osoby, której wysyłamy pieniądze, oraz wysokość wysyłanej sumy) po groszy 13 (patrz „Świat Dziewcząt" Nr. 21), Jan Osiński np. zapłaci za wysłane 50 złotych: 1) opłata manipulacyjna 20 gr., 2) opłata za 50 zł. — 70 gr., 3) opłata za tekst telegramu groszy — Razem — zł. — gr.

Wysyłanie pieniędzy przekazem telegraficznym opłaca się tylko wtedy, kiedy bardzo zależy na pośpiechu.



PRZEKAZ TELEGRAFICZNY

na: zł. 50 gr. — słownie

pięćdziesiąt

zł — gr

ADRESAT: Marja Kowalska

MIEJSCOWOŚĆ: Toruń

ULICA, NUMER DOMU: Lipowa N 55.

POCZTA:

IMIĘ, NAZWISKO I ADRES NADAWCY: Jan Osiński Warszawa Kolejowa 47 m 18

Nr nadawczy | Podpis urzędnika | Pieczęć okręgowa

Rok I Warszawa, dnia 1 grudnia 1933 r. Nr. 26



MŁODZIEŻ WSPÓŁCZESNA

Tak często spotykamy się z zarzutem, że młodzież dzisiejsza, pozbawiona głębszych ideałów, poczucia obowiązku, egoistyczna i wewnętrznie pusta, niemoralna nawet, porzuciła zaszczytną drogę dążeń nad poziomy, by zapełnić bezmyślnym gwarem sale dancingowe i boiska sportowe.

Nie przeczę, że lubimy się bawić, a sportom poświęcamy więcej czasu niż ludzie starszego pokolenia. Ale żebyśmy nie pracowali — to nieprawda! Czyż przepełnione uczelnie i bibljoteki publiczne nie są tego dostatecznym dowodem?

I, muszę to podkreślić, jakże często pracujemy bez najmniejszej nadziei, że ta praca doprowadzi do upragnionego celu: zdobycia stanowiska odpowiadającego naszym zdolnościom i kwalifikacjom.

A ideały? — Nosić w sobie pragnienie lepszego jutra, dobra i sprawiedliwości jest rzeczą tak dalece ludzką, że trudno byłoby zaprzeczyć istnienia tych uczuć w sercach współczesnej młodzieży. Raczej często razi nas obecna rzeczywistość i niejedno pragnęlibyśmy zmienić. Dlatego uznajemy poniekąd słuszność twierdzenia, że dawniej pod niektóremi względami było lepiej, a raczej łatwiej. Lecz za to, że dziś jest trudniej lub może gorzej, nie wolno potępiać młodzieży współczesnej, pomijając warunki i okoliczności, w jakich ta młodzież się zrodziła, wyrosła i w jakich żyć musi.

Od starszego pokolenia dzieli nas wielka wojna, która całkowicie zmieniła obraz dawnego świata. Ci z ubiegłego okresu stali się prawie obcy i czasem niezrozumiali dla idących z falą postępu.

Jesteśmy dziećmi ludzi, którzy przeżyli rzeczy straszne. Ich nadszarpane nerwy, nadwątlone zdrowie stają się często przyczyną tego, że nasze dzieciństwo nie jest znów tak bardzo „sielskie, anielskie" i beztroskie.

Wcześnie spotykamy się z realnem życiem. Wobec obecnych ciężkich czasów, kryzysu, który przeżywamy, nie wolno nam być zbyt długo dziećmi. Nie przeczę, że dawna młodzież wcześniej od nas zaczynała się interesować zagadnieniami filozoficznemi i w 17 roku życia więcej wiedziała o Kancie i Spinozie, niż my wiemy o Jaspersie czy Freudzie. (Jeżeli nawet coś wiemy — to strasznie „po łebkach!"). Ale za to my musimy być wcześniej dorośli w życiu praktycznem.

Kłopoty finansowe naszych rodziców nie mogą nam być obce, słyszymy ciągle o masowych redukcjach, o wzrastającem bezrobociu. Dręczy nas szara, lecz jakże tragiczna nieraz, rzeczywistość dnia powszedniego, narzuca się nam, opanowuje coraz bardziej i wkońcu uniemożliwia prawie ucieczkę do ksiąg Spinozy, czy Jaspersa!

W miarę dorastania zjawiają się inne jeszcze troski — konieczność czynnego ustosunkowania się do życia i jego zagadnień.

Dopóki jesteśmy dziećmi, podświadomie czujemy się bezpieczni pod opieką rodziców i szkoły. Ale lata płyną.

Z chwilą gdy wchodzimy już samodzielnie w życie, czujemy się naraz niezmiernie osamotnieni, niezaradni i

często nierozumiani przez otaczający nas świat. Lecz tem ostatniem nie należy się martwić. *Świat nas rozumie i to coraz lepiej,* tylko w swoim rozpędzie, wobec nawału palących i wielkich zagadnień nie może zastanawiać się jedynie i wyłącznie nad nami.

I może jeszcze jedno. Oto zmieniły się pojęcia ludzkości o tem, co złe i dobre, co słuszne, niesłuszne i może nawet co sprawiedliwe.

Gdyby to się stało powoli, drogą ewolucji, nie byłoby tak rażącego kontrastu w poglądach obu pokoleń. Tym razem jednak nastąpił gwałtowny przełom.

Istniały dawniej pewne wytyczne i jak drogowskazy kierowały ludzi w rożne strony. By żyć uczciwie, zgodnie z zasadami etyki i moralności, by zdobyć szacunek oraz uznanie społeczeństwa, należało tylko dostosować się do tych przepisów życiowych i odpowiednio je wykonać.

Przyszła wojna. Świat zmienił swoje oblicze. Powstały nowe państwa, nowe zasady życia gospodarczego i politycznego, zrodziły się inne poglądy na etykę, moralność, wzajemny stosunek jednostki do jednostki i ich stanowisko wobec całego społeczeństwa.

Okazało się, że dawne kodeksy mądrości życiowej nie dadzą się zastosować do zmienionych warunków. Należało stworzyć nowe.

My, młodzież powojenna, zetknęliśmy się z życiem naładowani poglądami naszych rodziców, lub zasadami wyjętemi żywcem z książek i niezawsze dającemi się zastosować do obecnej rzeczywitości.

Spostrzegając ich „nieżyciowość", szukamy lepszych i innych, że nam się czasem zdarzy zbłądzić, to trudno — przecież *jesteśmy przemażnie sami!*

Rodzice nasi, nawet najbardziej „postępowi", niezawsze potrafią nam dać radę czy wskazówkę, i oni odczuwają tę trudność ustosunkowania się do całkowicie nowej rzeczywistości. Wytwarza się paradoksalna sytuacja, w której oba pokolenia szukają równocześnie dróg, zasad i kanonów życiowych, do których należy się stosować.

Skazani jesteśmy na samodzielność! Smutne to, czasem dręczące i przykre, tragiczne nieraz, ale zarazem cudowne! Trzeba się tylko stać odrazu świadomym człowiekiem, słyszeć, widzieć, czuć życie i myśleć!

Los nam narzucił ciężkie warunki istnienia, niepewność jutra, problemy i zagadnienia trudne do rozwiązania. Lecz czas zrozumieć, że tego się tak łatwo nie zmieni, a naszą rzeczą — wytrwać!

Halina Karnicka.

PANIENKA Z PRZED STU LATY

Dwór w Pakosławiu był podobny do wszystkich dworów jaśniepańskich, rozsypanych po Wielkopolsce. Biały, kolumniasty, szeroko w boki rozciągnięty, górą wrastał w zielone gałęzie kasztanów, a dolem w rabaty nasturcyj, bladych, mocno pachnących róż i jeszcze mocniej pachnącej maciejki, ulubienicy jaśnie starościny Średzkiej. Wczesnym rankiem skrzyp okna w lewem skrzydle dworu zwiastował nieomylnie, że pani starościna po obudzeniu i modlitwie pierwsze rozkochane spojrzenie rzuca na kwiaty i zaraz potem z polewaczką podrepcze wzdłuż rabatek. Za nią, jak trzy białe, ze sztywnego muślinu zrobione, motyle pofruną trzy wnuczki: Kordula, Nimfa i Emilja Szczanieckie. Najpiękniejsza jest Nimfa, najmądrzejsza i najbardziej buntownicza Emilja, średnia we wszystkiem — Kordula.

Całe to panieństwo, trzymane twardą ręką pani starościny, pędzi cichy żywot w pachnących paczulą i lawendą komnatach starego dworu. Są to pełne czaru pokoje, przysłonięte bielą muślinowych firanek, błyskające cudownością serwantek i politurą najdostojniejszego mebla romantyzmu — fortepianu. Zasiadają przy nim kolejno trzy panny Szczanieckie i, chyląc lokami zdobne główki, wystukują mozolnie: do, re, mi, fa.

Czasami, a jest to już wielkie święto, zasiada do orzechowego pudła pani starościna. Wtedy klawisze, jakby nie te same, wystukują jakąś bardzo porcelanową melodję, od której łagodnieje oblicze, wiszącego w czarnym owalu nad kominkiem cesarza Napoleona, a panienki przez chwilę przestają haftować.

Ale oto ostry głos od fortepianu woła — depecher vous, mesdemoiselles — porcelanowa melodja, niedokończona zawisa w powietrzu, a szum jedwabnej robrony zwiastuje, że babka zawstydziła się już swego wzruszenia.

Panienki wracają do roboty, migają igły, plączą się kolorowe nici, plączą się myśli, może nawet niezupełnie grzeczne, marzenia, napewno całkowicie wzbronione.

Bunt rozpoczęła jak zwykle, Emilja. Połamała igły, splątała w jeden wielki kłęb jedwabie, zaczęła mówić tylko po polsku i.... postanowiła jechać do Drezna na naukę.

Huczek poszedł po dworze, pani starościna dostała waporów, ulubiony jej mops flukcji z przeciągów, bo biegano z pokoju do pokoju, nie zamykając drzwi, a pani starościna wołała łamiąc ręce, że „cette petite bete". Emilie, wpędzi ją do grobu.

Wbrew ponurym przepowiedniom wszystko skończyło się jak najlepiej. Starościna poprawiła roztrzęsione loki, wyprostowała pogniecione koronki i... zezwoliła na wyjazd wszystkich trzech wnuczek do Drezna „en pension".

Podróż w roztrzęsionej karocy była czarująca, a pobyt w Dreznie zapewne także, niestety nic dokładnego o tem wiedzieć nie możemy, gdyż jedyne zapiski z tych czasów, pamiętnik Nimfy, są głęboko ukryte w rodzinnej bibljotece jednego z dworów Wielkopolski. Trzebaby było przesiedzieć wiele godzin w ciemnym pokoju, zastawionym dębowemi szafami, trzebaby było brać do ręki wszystkie pokolei zakurzone stare tomy, aby dobrnąć do pożółkłego zwitka, który opowiada tamte dzieje.

Emilję i jej siostry odnajdujemy dopiero nieco później, gdy wróciły znowu do Pakosławia z główkami umeblowanemi zagraniczną mądrością, z manierami modnych dam, a sercami, pełnemi romantycznych uniesień. Zaprawiła je do nich pełna sentymentu ówczesna poezja niemiecka, a reszty dokonał wrodzony, polski sentyment. Że jednak Emilja była jakoś dziwnie różna od sióstr, jej romantyzm znalazł w życiu zupełnie odrębny wyraz: gdy Kordula i Nimfa wyszły spokojnie zamąż, pierwsza za Stablewskiego, druga za Łąckiego, Emilja pewnego dnia dorosła do miana bohaterki narodowej.

Był to bezwzględnie czas bogaty w bohaterów, bo właśnie rozpaliła się, ta najbardziej poetyczna z wojen, jaką było powstanie listopadowe.

Wielkopolska żyła oczekiwaniem wieści z za kordonu, każde echo z Warszawy odbijało się wielokrotnie o jej serce, a że zawsze wyżej stawia czyn od marzeń, więc co prędzej bierze się do pracy: zbiera pieniądze i konie dla wojska.

Gdy wiadomość o tej akcji doszła do Emilji, znalazła ją gotową do czynu. Panienka żegna się bez żalu ze wszystkiemi falbanistemi robami, zaczesuje gładko włosy, wkłada bylejaką szubkę (zima już była nadeszła) i, wsiadłszy na jednokonną kałamaszkę, objeżdża okoliczne dwory.

Co na to powiedziała babka — starościna — niewiadomo; może pogodziła się już z pomysłami szalonej wnuczki, a może po raz drugi dostała waporów? Najgorsze jednak czekało ją dopiero. Oto pewnego dnia (a może to był czarny wieczór) Emilja zniknęła.

Tak, pojechała niby to odprowadzić panią Tertuljanową Koczorowską, która przemykała się do Warszawy do męża i... nie wróciła. W kilka tygodni potem otrzymała dopiero pani starościna łzami skropiony liścik wnuczki, która, nie wiedząc, jak zareaguje na ten nienotowany w dziejach wzorowego panieństwa czyn surowa babka, w zawiłych słowach prosi o przebaczenie.

Czy je uzyskała?

W pamiątkach po Emilji Sczanieckiej przechowuje rodzina do dzisiejszego dnia zżółkły karteluszek, na którym pani starościna wypisała drżącą od starości ręką:

„Gdybyś mnie była pytała o pozwolenie, jako babka, kochająca ciebie, musiałabym odmówić takowego. Jako Polka odczuwam twą miłość dla Ojczyzny i dumna z ciebie jestem".

Z jaką ulgą odczytała Emilja te kochane słowa babki.

Po trudach podróży, którą odbywała w przebraniu służącej, jako „femme de chambre", Tertuljanowej Koczorowskiej, po chwilach napięcia, gdy się wydawało, że już, już wszystko przepadnie, list babki był pierwszym uśmiechem niepewnej przyszłości. Drugim — było spotkanie ukochanego przyjaciela (a może tylko ukochanego) Karola Marcinkowskiego, trzecim — Klaudyny Potockiej.



Emilja Sczaniecka.

Klaudyna Potocka i Marcinkowski byli pierwszymi przewodnikami Emilji po Warszawie. Boże, jakże szczęśliwe były te dni, gdy można było chłonąć wrażenia, o których tyle lat się marzyło, gdy można było naprawdę pracować tak, jak się tego pragnęło.

Emilja Sczaniecka poświęciła się pracy w szpitalach. Pracowała na Woli, potem własnym sumptem założyła tak zwany Szpital Poznańczyków. Ale pogodna praca skończyła się bardzo szybko. Przyszedł krwawy dzień Olszynki Grochowskiej, a potem wieści coraz smutniejsze. Ranni napływali w takich ilościach, że zaczęło brakować nietylko łóżek, ale sienników, środków opatrunkowych, wszystkiego.

Emilja walczy z trudnościami, walczy z upadającą nadzieją, z własnym, wyczerpanym organizmem. Nie jest już ani trochę podobna do muślinowego motyla, ani do romantycznej panienki, popłakującej nad wierszami Heinego.

Rysy się jej wyostrzyły, czarne mądre oczy płoną dziwnym ogniem, małe spracowane dłonie oddawna już zapomniały gry na fortepianie. Tyfus, którym się zaraziła w szpitalu, kładzie ją na kilka tygodni, a potem, prosto z łóżka znowu do ciężkiej, wyczerpującej pracy.

Nie było to jednak najgorsze! Najgorsza była bolesna, upakarzająca ucieczka z Warszawy, w ślad za cofającem się wojskiem polskiem.

Generał Witt, krewny Potockich, wystarał się o paszport dla Klaudyny Potockiej i jej dworu. Emilja znowu jechała w przebraniu służebnej pod nazwiskiem Doroty Gosse, ale z jakże innym nastrojem.

Jedną stroną wyboistej drogi sunęła, chwiejąc się, karoca Klaudyny, którą często, gęsto obrzucano kamieniami, z drugiej strony szły niekończące się nigdy, ołowiane szeregi rosyjskiej piechoty.

Na granicy niemieckiej karetę otoczyli pruscy żołnierze. Ostre, jak cięcia szabli pytania, przenikliwe spojrzenia. Emilja kryje zapłakaną twarz pod biały czepek służebnej i zaciska pięści. Cóż to jednak pomoże.

Biały, kolumniasty dwór w Pakosławiu szeroko, serdecznie rozwartemi drzwiami przyjął zbolałą Emilję.

Nie pachniała już maciejka ani róże nasturcje paliły się ostatniemi barwami.

Zofja Miszewska

ENCYKLOPEDJA

43) *Calmette*, pr. znakomity bakterjolog francuski zmarł w październiku r. b. Pr. Calmette wyhodował nowy gatunek bakterji gruźlicy. Bakterje te, zaszczepione dzieciom, uodporniają je przeciwko zarazkom „dzikiej", śmiertelnej gruźlicy.

44) *Defetysta*, wyraz pochodny od francuskiego wyrazu: defaite, porażka. Defetystą nazywamy człowieka, który nie wierzy w zwycięstwo, ani wogóle w żadną poprawę.

45) *Heureka*, albo *Eureka*, dosłownie: znalazłem. Wyrażenie greckie. „Heureka" miał zawołać Archimedes w kąpieli, odkrywszy swoje słynne prawo.

46) *Fama volat*, dosłownie: wieść lata. Wyrażenie łacińskie, używamy go, kiedy chcemy powiedzieć, że jakaś wiadomość rozniosła się szybko.

47) *Team*, dosłownie: zaprząg, drużyna. Wyraz angielski, przyjęty w sporcie. Mówimy np.: partję rozgrywały 2 teamy (czytaj: tim).

48) *Team work*, dosłownie: praca zaprzęgu, wyrażenie angielskie. Po polsku team work używamy w znaczeniu pracy zespołowej.

NASZA OKŁADKA

Jak co roku, wieczorem dnia 29 listopada wartę w Belwederze objęli podchorążowie z Ostrowi Mazowieckiej. Historyczne już dziś mundury z roku 1831 czynią, że wyglądają uroczyści i dalecy. Ale jakie mogą bić serca na ich widok, który przypomina nam tamtych, bohaterskich chłopców z przed 102 lat!

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

NOC LISTOPADOWA

WYSOCKI

Zapamiętajcie rok
trzydziesty
Dzień dwudziesty dziewiąty
Listopada
Dzień weszedł dla was, ta noc!





Czas ucieka
Trza nam chyżo do wrót
nim nas ubiegną.
Jest tu cała hurma Moskali
Co wrót strzegą.

Tym trza dać broń
I drogę do pałacu pokazać,
Dwóch przydzielę i sam ich wyznaczę
Oni mają pochwycić książęcia
Gdyby zechciał ogrodem uciekać.

W ogrodzie, koło mostu posągu
Jest młodych, umówionych szesnastu,
Wszystko z uniwersytetu studenci
I literaci.



Już biegą, już biegą,
Już nic ich nie wstrzyma
Już bronie mają w ręku,
Wśród gwaru, rumotu,
Śród szczęku!

Kurty w granat, a żółte
rabaty
Białe spodnie i białe kamasze,
Na głowach piętrzą bajonety,
Przypasują do boków pałasze...



TWORZYMY POLSKĘ

DRUŻYNY ROBOTNICZE

Przeciągły gwizd syreny fabrycznej zwiastował w kopalni zmianę szychty. Zapełniały się ulice gromadami ludzi, śpieszącymi do pracy. Zewsząd dolatuje uszu naszych gwar, rytm pracy. Z morza kominów fabrycznych wzbijają się w niebo smugi czarnych dymów, piece hutnicze buchają piekielnym żarem, motory z hukiem puszczają w ruch potężne pasy transmisyj, tysiące ton czarnego djamentu wyrzucają z podziemi windy, wagony ciężko przesuwają się po szynach.

Kryzys gospodarczy. — Ciężkie dźwierze bram fabrycznych przepuszczą tłum robotników, by z hukiem zatrzasnąć się za ostatnim. Fala bezrobocia wzrasta. Od 3 lat życie zamarło w centrach przemysłowych. Powietrze już nie drga gwizdem syren fabrycznych.

Tłum znowu płynie po ulicach — tłum bezrobotnych, ludzi wynędzniałych o wychudłych twarzach. Oczy ich wyzierają obojętnie lub złowrogo z pod głęboko nasuniętych na czoło czapek. W kuchniach dla bezrobotnych żony i dzieci wyczekują w ogonkach posiłku.

Brak pracy demoralizuje ludzi. Ojciec bez pracy, a żyje; starszy brat, czy siostra nie pracują, a żyją. Młodzież opuszcza szkołę z tą myślą, że również bez pracy musi egzystować, marnuje swe najlepsze lata na wałęsaniu po ulicach. Jeden krok, aby popaść w konflikt z kodeksem karnym.

Społeczeństwo zaalarmowane. S. O. S.... Należy dać pracę ludziom; należy dać zasiłki bezrobotnym. Skąd wziąć pieniędzy i pracy? Jak rozwiązać trudny problem bezrobocia — głowią się nad tem najtęższe umysły świata całego. Tego się nie wykrzyczy, tego nie rozwiąże się jednem pociągnięciem pióra, jednem rozporządzeniem czy ustawą. Aby dać pracę i chleb wszystkim obywatelom, trzeba żmudnej i wytrwałej pracy całego społeczeństwa, trzeba olbrzymich wysiłków i wypracowania nowych form społecznego bytowania, trzeba zmiany zasad współżycia, pracy i wytwarzania. Musimy podjąć prace, które leżą odłogiem. Jest ich poddostatkiem. Tu nieuregulowana rzeka wyrządza corocznie rolnictwu niepowetowane szkody, tu brak dróg bitych, a drożyny pełne wybojów i wiecznego błota niszczą wozy, utrudniają komunikację; całe kilometry kwadratowe obszarów są pozbawione dróg żelaznych, trzeba budować nowe linje kolejowe; tam moczary i nieużytki, potrzeba meljoracyj, otwierają się przed nami duże możliwości zdobycia nowych obszarów uprawnych. Zakasać rękawy i do roboty!

Ale wprzód musimy przeprowadzić nową organizację pracy. I taką to nową szkołę pracy tworzymy w Ochotniczych Drużynach Robotniczych na Śląsku. Inicjatywę drużyn rzucił p. wojewoda śląski dr. Grażyński. Z końcem ub. roku powstaje pierwsza drużyna w Rybniku-Paruszowcu. Powstaje jako próba, jako eksperyment. Zatrudnienie znajduje przy budowie nowej linji kolejowej: Rybnik — Żory. W ciągu b. r. sieć drużyn pokrywa teren województwa i dziś już można powiedzieć, że nową formą organizacji pracy będą Ochotnicze Drużyny Robocze. W szeregach drużyn skupimy całą młodzież bezrobotną i w oparciu o czynnik pracy tworzyć się będą kadry wzorowych obywateli Państwa. Zdajemy sobie sprawę z tego, że rzecz to trudna, że przełamać musimy wiele uprzedzeń, wiele przeszkód trzeba usunąć z drogi, zanim dojdziemy do idealnego stanu. Rąk załamywać nie potrzebujemy, bo wiemy o tem, że wysiłek zdyscyplinowanych zespołów może dokonać niezmiernie dużo.

Weźmy przykłady. Przemsza pod Mysłowicami. Blisko tysiąc młodzieńczych rąk prostuje bieg kapryśnie płynącej rzeki, pogłębia koryto, wznosi wały, buduje przeładunkowy port rzeczny dla spływu węgla do polskiego morza.

Wisła od Skoczowa po Goczałkowice na różnych odcinkach wymaga wykończenia planu regulacyjnego. Pracują drużyny w Ustroniu, Górkach Małych i Harbutowicach na Śląsku Cieszyńskim, oraz w Czechowicach i Strumieniu.

Drużyna w Jaszowcu buduje drogę z Poleny do Brennej, przerzucając ją z pomocą serpentyn poprzez szczyt Równicy. Tysiące łopat i kilofów dostało się w ręce młodych chłopców. — Ziemia przewala się w taczki i wózki na szynach wąskotorowych, teren zmienia swój wygląd w oczach obserwatora.

W Katowicach — Ligocie padają pod siekierą strzeliste sosny, a na miejscu wykarczowanego lasu powstają parcele budowlane, poprzerzynane szachownicą ulic.

Powstają nowe boiska, na których dzięki zaprawie sportowej młode pokolenia będą nabywać fizycznej tężyzny. — Po 6-ciu godzinach pracy fizycznej wracają w marszowem tempie ze śpiewem na ustach szeregi junaków — uczestników O. D. R-ów. Wracają do koszar. Tam znajdujemy wzorowy porządek. Każdy ma łóżko z pościelą, szafkę do rzeczy. Każdy ma pełne utrzymanie, ubranie, opiekę lekarską,

wynagrodzenie w kwocie 1 zł. dziennie, z czego 50 gr. otrzymuje gotówką, a 50 gr. na książeczkę oszczędnościową P. K. O. Władze O. D. R. mają na oku nietylko rentowność pracy fizycznej uczestników drużyn, ale nie zapominają także o społeczno - wychowawczej roli obozów pracy.

W porze popołudniowej widzimy junaków na boiskach. Jedni biegają, inni grają w siatkówkę lub koszykówkę, inni skaczą wzwyż i w dal, inni rzucają dyskiem lub kulą. Radość panuje w obozie. Przecież głód nie jednemu doskwierał, zanim znalazł się w drużynie. wielu było wydartych do łachmanów. — a teraz zapomnieli o beznadziejnej przeszłości. teraz mundur czyni z wszystkich jedną, zwartą gromadę o własnej ideologji, powstałej w wyniku związania się z organizacją drużyn. Oczywiście, że znajdą się w O. D. R. — malkontenci, lecz tych jest coraz mniej; pod moralnym naciskiem ogółu młodzieży naginają się oni do zdyscyplinowanego życia, dochodząc do zrozumienia owej prawdy, że karność dobrze pojęta i solidarność zespołowa jest czynnikiem o pierwszorzędnem znaczeniu społecznem.

Wieczory spędzają junacy w własnych świetlicach. Tu znajdują miejsce dla artystycznych i kulturalnych przeżyć. Wszędzie zmontowane radjoodbiorniki. Dzienniki i tygodniki rozrywane przez świetliczan. Bibljoteki ruchome świecą zawsze pustkami, książki bowiem są w 100% rozpożyczone. Szereg gier wzbudza zainteresowanie junaków. Ping-pong i szachy nigdy nie spoczywają. Tu i ówdzie można natknąć się na zespoły muzyczne lub śpiewacze przy próbach. Tworzą się już własne piosenki z życia O. D. R., zespół w Królewskiej Hucie ma już nawet własny hymn. — Drużyny organizują wieczornice oraz ogniska. — Ostatnio w 250-letnią rocznicę zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem zapłonęły w O. D. R. watry. — Śpiewy, deklamacje, inscenizacja pieśni i gawędy rozbrzmiewały wokoło. Uczczono wielkie zasługi bohaterskiego króla. Związano z przeszłością dzień dzisiejszy. Dziś drogą wskazaną przez Marszałka kroczy w zwartym ordynku nowa Polska w mocarstwowe jutro.

Ochotnicze Drużyny Robocze dołożą swoją cegiełkę w budowie gmachu naszej państwowości.

Henryk Dobrowolski

PO NOWĄ SŁAWĘ

POLSKA WYPRAWA DO AND



Kiedyś, gdy byłam pensjonarką, marzyłam o spotkaniu bohatera na miarę średniowiecznego rycerza. Szlachetny, dobry, pełen poświęcenia, dzielny i wytrwały, silny i piękny. Bohaterowie wojny — to nie było to. Każdy był takim bohaterem. I właściwie nie wiedziało się, czy sam ze siebie, czy może, że mu kazali. Taki mi tam bohater z musu!

Bałam się, że w życiu nie zachodzą możliwości, w których może się przejawić „rycerskość" człowieka, że już bezpowrotnie minęły czasy bohaterskiego średniowiecza, przyłbic, kryjących szlachetne czoła, pancerzy, ochraniających piersi i na nich ukryty kwiat damy serca.

Ale życie szykuje niespodzianki dla pensjonarskich głów. Nieudana wyprawa Nobilego, ekspedycje ratownicze wyruszające ze wszystkich części świata, wyprawy w Himalaje, wyprawa Byrda do bieguna południowego.

Zobaczyłam fotografje tych ludzi ze szlaku: obszyci w futra, jak niedźwiedzie, twarze obrośnięte, opalone; rysy surowe, ale wszyscy uśmiechnięci, spojrzenia jasne i pogodne. Tak wyglądają nasi nowocześni bohaterowie.

Zrezygnowałam z pensjonarskich snów. Rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania.

Bo pomyślcie tylko, ile zalet powinien mieć taki, już nie mówię, kapitan wyprawy, ale zwykły uczestnik, jakiś inżynier np. Więc przedewszystkiem musi być uczony. Specjalista w swoim fachu. Jakiś bardzo zdolny badacz. Musi być zdrowy, mieć odporny organizm, nie żaden kaleka. Zdolny do zniesienia niewygód, mrozu, głodowania, wszelkich wysiłków fizycznych. Musi umieć pływać i wiosłować — jeżeli wyprawa polarna; uprawiać wspinaczkę i narty — jeżeli wysokogórska. Umieć nadać depeszę radjową. Zreperować, lub skonstruować z kawałków radjo, w razie wypadku rozbicia. Mieć charakter wesoły, nie poddający się nostalgji. Tyle zalet, a wcale jeszcze nie najważniejsze. Najważniejsze to być bratem towarzyszowi w potrzebie, nie opuścić go do ostatniej chwili. Poświęcenie, solidarność, samozaparcie posunąć do granic ostatecznych. do granic śmierci — umrzeć, a nie zawieść.

Taki był Amundsen, taki nie był Nobile.

Widziałam twarz Amundsena i zrozumiałam, na czem polega bohaterstwo naszych czasów.

Ale Amundsen — to indywidualność rzadka. Wyprawa, składająca się z kilkunastu ludzi, to nie sami Amundseni, a jednak bohaterzy. I właśnie wyrazem tężyzny narodu jest wyłonić ze siebie takich ludzi jak najwięcej.

Myśmy nie mieli możliwości. Walki o wolność zużytkowały całą energję. Aż wreszcie przyszedł czas. Odetchnęliśmy pełną piersią, nabraliśmy na długo oddechu, nabraliśmy rozmachu. Marzą się i nam dalekie góry i morza, nieznane kraje. Takie np. Andy; co o nich wiemy? Że tak są zwane Kordyljery Ameryki Południowej. Że są surowe, niedostępne, pustynne, pokryte lodowcami pomimo tropikalnego położenia. I już. I koniec. Andy bliżej nie wchodziły w nasze życie. Aż tu wiadomość: Polska ekspedycja w Andy. 6-ciu zapaleńców — 6-ciu młodych ludzi wysyła państwo polskie w celach naukowo-sportowych. Jadą: dr. fil. Konstanty Narkiewicz, fizyk, kierownik wyprawy, 2) inż. Adam Karpiński — lotnik meteorolog, szef wyekwipowania, 3) dr. medycyny Jan Dorawski (Kraków), lekarz ekspedycji, 4) inż. architekt Stefan Osiecki, operator filmowy, 5) Wiktor Ostrowski, student pol. warsz. wydz. inż. lądowej i 6) inż. Stefan Daszyński, górnik geolog.

Społeczeństwo zdobyło się na wysiłek. obdarowało ich, jak i czem mogło: dostali paszporty i bilety ulgowe, ekwipunek w części od M. S. Wojskowych, w części od prywatnych firm sportowych: szewc warszawski zrobił buty, fabryka Wedla dała czekoladę, monopol tytoniowy — papierosy. Kolonja polska w Argentynie ponosi koszty utrzymania, biletów i dostarczenia ekspedycji na mułach do granicy lodów.

I nasi chłopcy jadą. Piszę — chłopcy — bo najstarszy z nich ma 34 lata, najmłodszy — 26. Jadą do północnych stanów republiki Argentyny — San Juan i Mendoza.

Celem wyprawy są: 1) prace naukowe przeprowadzane na dużych wysokościach (fizjologiczne. meteorologi

czne, botaniczne, badanie natężenia promieni kosmicznych, fotografja dokumentalna, film); 2) odkrywcze i kartograficzne — zbadanie bliżej nieznanego masywu górskiego Ramada; 3) sportowe — zdobycie szczytu Aconkaqua.

Aconkaqua — wysokość 7,015 m. Trzydzieści wypraw próbowało zdobyć ją, a tylko sześć osiągnęło cel. Reszta skapitulowała. Zawróciły je z drogi fatalne warunki atmosferyczne. Mróz lub upał, (temperatura wahająca się pomiędzy + 40 stopni gorąca i — 40 stopni mrozu, a to w zależności czy w cieniu czy w słońcu. Bezustanny silny, suchy wiatr, unoszący tumany pyłu skalnego. Lawiny kamienne, popękana skała granitowa, niepokryta żadną roślinnością, wyżej firn — śnieg zmarznięty, i jeszcze wyżej lodowiec. Poza lamą i kondorem, przebywających poniżej granicy lodów — żadnej fauny. Nostalgja płynąca z pustynnego krajobrazu przejmuje człowieka do tego stopnia, że dostaje „puny". „Puna" — specjalność And, jest to nie normalna choroba górska fizjologiczna (zawroty głowy i wymioty), ale psychiczna: brak woli, chęci do życia, niezdolność posuwania się dalej naprzód. No i najgorsze — brak tlenu i małe ciśnienie na dużych wysokościach.

Ekspedycja polska rozbije namioty — bazę operacyjną na granicy lodów (około 5.000 m.) i dalej będzie wyruszać na krótkie wspinaczkowe wyprawy. Ubrani ciepło i lekko (wełna i jedwab, „systemem cebuli" — dużo cienkich warstw), obarczeni przyrządami, namiotami, żywnością, będą posuwali się naprzód na dużych wysokościach z niezmiernym wysiłkiem, w warunkach tak wyczerpujących (rozrzedzone powietrze), że 20 minut marszu i pół godziny drzemki — to najszybsze tempo, w jakiem będą się mogli posuwać. Odżywiać się wtedy będą tylko płynami (buljon i lemoniada z dużym roztworem cukru), a to dlatego, żeby nie zużywać energji na spożywanie i absorbowanie przez organizm suchego pokarmu. I przytem będą zmuszeni pracować umysłowo — robić pomiary, badania, zbiory i t. p. I to wszystko nie żadne Amundseny, a nasi chłopcy, nasi koledzy z Tatr — mój brat i twój narzeczony. Pomyśleć tylko — aż w gardle ściska.

Jadą na 6 do 8 miesięcy. Pobyt w górach wyniesie około 3 miesięcy. Pomyślcie — przez trzy miesiące w takich piekielnych warunkach sześciu młodych ludzi — sami, ani to się pokłócić, ani pogniewać, ani odpocząć, ani odprężyć.

Pewnie, jazda przez Atlantyk, przyjęcia w Argentynie i t. d. i t. p., pewnie, to duża przyjemność, ale przyjemność nie równająca się rozkoszy, jaka ich czeka w górach. Tak, nie nie żartuję. Jeśli zakosztował kto z was rozkoszy wytrwania na stanowisku, opanowania trudności, jeśli kto raz czuł na wargach uśmiech zwycięzcy, słabo przebijający się przez zmęczone po najwyższym wysiłku mięśnie twarzy, ten wie, że nie żartuję. Niema nic ponadto. Jest to rozkosz bogów.

Ekspedycja wyruszyła 8 listopada b. r. Tego dnia wszyscy byliśmy na dworcu, żegnaliśmy naszych wybrańców. Jadą na zdobycie nieznanych krajów. Opanują je nie mieczem i ogniem, a pomiarami. Zbadają, spętają wykresami map. Przyznajcie, że najszlachetniejszy to rodzaj kolonizacji.

Halina Borman

10 DNI W ŚWIECIE



Grenlandja! Sam dźwięk gotów nas przyprawić o drżenie z zimna! A jednak mieszkańcy tej dalekiej wyspy muszą być przygotowani, że będą jeszcze więcej marznąć. Temperatura wody u brzegów Grenlandji z każdym rokiem ulega obniżeniu i to tak wyraźnie, że niektóre gatunki ryb zupełnie zaginęły. Pojawiły się natomiast inne, którym dotychczas było w tych stronach jeszcze za... ciepło! Obniża się również temperatura wody przy brzegach Tasmanji. Zwiedziły się o tem foki, i, ku zdumieniu tasmańczyków, w dość licznem towarzystwie odwiedziły te [illegible]

Japonja nie zanotowała w ostatnich czasach żadnych „niespodzianek" natury. Ale to, co jest w tym kraju „naturalne" — jest dla nas, polskich czytelników, dość niepokojące: obserwatorjum w Tokjo zanotowało w ciągu lat 10 ni mniej ni więcej, tylko 22.000 trzęsień ziemi. Brr!

Zazwyczaj ludzie martwią się, że czegoś nie posiadają. Ale posiadacz drugiego co do wielkości djamentu martwi się właśnie dlatego, że go ma. Bo pomyślcie tylko: djament waży 2000 karatów i jest podobno wart 160.000 angielskich funtów. Ale... ale... nikt nie chce go kupić. A szczęśliwy posiadacz tego skarbu nie chce obniżyć tej ceny. No, i trzyma swój djament w banku, czeka, aż go ktoś kupi i martwi się.

Żadnych zmartwień natomiast nie mają chyba te miłe dziewczęta, które spędzają weekend w starym okręcie. „Wrak" urządzony jest wygodnie, a łagodny klimat Anglji czyni nawet jesienne wakacje możliwemi w tak prymitywnych warunkach.

Zadowoloną minkę ma również malutka księżniczka Elżbieta (wnuczka króla angielskiego), która ćwiczy się w jeździe na rowerze w londyńskiem Hyde-Parc'u. O ileż jest szczęśliwsza od dawnych księżniczek, którym nigdy nie wolno było być — dziećmi.

Prawda, jak zabawnie wygląda ta młoda osoba w stroju z roku 1885? Ale czegóż się nie robi, żeby być „stylową", a do pierwszego motocykla firmy Benz tylko taki strój pasuje! Zaś młoda osoba jest „córką firmy" i chciała uczcić wynalazek dziadka.

Panna Ida Busholl natomiast tylko dla fantazji, niczem do tego niezmuszona, pojechała do ślubu na osiołku. Ha, co kto lubi! Panna Ida widocznie lubi dziwactwa, bo trudno to nazwać nawet — oryginalnością.





GASTON CH. RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁUM. STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy)

— Wczoraj ojciec pański przyrzekł powierzyć mi samolot, o ile pan na to wyrazi zgodę? — podjęła Janka przerwaną rozmowę. Prosiłam go o to, Piotrze, by móc bronić pańskiej sprawy! Ponieważ darzą nas wspaniałem mianem Rycerzy Przestworza, postępujmy więc i w tym zatargu podług prawideł rycerskiego stanu. Zostałam wyznaczona, jako pański „pilot - zastępca" na trasie Londyn — Berlin — Moskwa — proszę mi pozwolić zatrzymać to miejsce! Proszę mię mianować swym orężnym towarzyszem! Proszę nie wzbraniać mi, Piotrze, walczyć na pańskiem miejscu, o pańską sprawę. A przysięgam, że będę broniła jej dzielnie i do upadłego!

Błysk szczęścia zamigotał w rozgorączkowanych źrenicach Piotra. Spostrzegł jednak uśmiech Fernanda i rzekł, zwracając się do ojca.

— Nie słuchaj jej, ojcze! Nie można wymagać takiego wysiłku od kobiety. Ze strony Janki taka ofiara jest szczytem wspaniałomyślności, ale przyjęcie jej przez nas byłoby nieludzkie... Odrzuć tę prośbę, ojcze!

— Panie szefie, proszę mi się nie opierać. — Przerwała Janka. — Niechże mi pan pozwoli lecieć. Pan przecież wierzy we mnie!

— Boże mój, co czynić! — wyszeptał Klemens Durand - Gardel. Jedna możliwość więcej gotowa spowodować zwycięstwo... Niepowodzenie stać się może przyczyną naszej klęski.

— Niech pan się zgodzi! — prosiła Janka.

— Odmów! — błagał Piotr... — To zbyt niebezpieczne!

Janka chwyciła zdrową rękę młodzieńca.

— Pan wszak wie dobrze, że zdolna jestem poprowadzić Kormorana... — zaklinała gorączkowo. — Dlaczego przeszkadza mi pan w zdobyciu majątku, sławy i szczęścia!

— Taki wysiłek... na tak długi dystans!— odparł Piotr... — A przytem, miałem zabrać Dicka. Wiem dobrze, co należy czynić, by go trzymać w szachu, ale pani... on pani nienawidzi!

— Zobaczymy jeszcze... Żądam pańskiej zgody, Piotrze... Proszę pozwolić na mój odlot — jest to konieczność nieodzowna, przysięgam panu...

Na błagalny dźwięk głosu dziewczyny Piotr aż zadrżał wewnętrznie. Poczem zwrócił spojrzenie na Fernanda, który stał wyprostowany i wytworny, z błyszczącemi oczyma w dumnej i młodzieńczej twarzy. Piękny i pewny siebie, z pół-uśmiechem na ustach, triumfował już zgóry, jak gdyby istotnie zdobył palmę zwycięstwa.

Przeniósł zwrok swój na Jankę...

Ona również patrzała na Fernanda.

— A! wycedził z goryczą, rozumiem...

Westchnął ciężko.

— Janko, nie będę sprzeciwiał się woli pani!

Rzuciła się naprzód w nagłym, radosnym porywie, natychmiast wszakże stłumionym.

— A pan, Fernandzie! czy i pan się na to zgadza? — zapytała.

— Ależ oczywiście! — uśmiechnął się w odpowiedzi. Wątpiąc w to choć przez chwilę, obraża mnie pani.

Piotr, bardzo blady, zamknął oczy. Spoczywał na swych poduszkach, nie unosząc powiek, tak wyczerpany, tak ogromnie znużony bólem i strapieniem, że serce Janki ścisnęło się na jego widok...

— Pozwólmy mu odpocząć! — szepnęła półgłosem.

Wszyscy troje pocichutku wysunęli się z pokoju.

Na końcu korytarza Janka przystanęła...

— Chwileczkę, rzekła. Zapomniałam swej torebki...

Zawróciła, weszła do pokoju nagiego, jasnego, chłodnego, o kątach zaokrąglonych i ścianach pokrytych pokostem jasno-zielonym.

Piotr wciąż jeszcze nie otworzył oczu. — Ale z tych oczu, jak dwie piekące perły, stoczyły się dwie ciężkie łzy...

Uniósł powieki, przy wejściu dziewczyny spojrzał na chwilę radośnie, ale natychmiast bez słowa znów przymknął oczy.

Janka wzięła swą torebkę, zwróciła się ku drzwiom...

Wówczas zawołał cichutko, rozdzierającym szeptem:

— Janko... o! Janko.

Stanęła, zawahała się przez chwilę, następnie podeszła do niego, schyliła się nad posłaniem i złożyła swe świeże wargi na biednem, umęczonem, obandażowanem czole.

Gdy zaś spoglądał na nią, jego oczy były jak dwie studnie nalane strachem po brzegi, szepnęła tylko te słowa:

Piotrze, miejmy nadzieję — — —

Poczem wymknęła się zwiewna jak cień, zostawiając go napoły przytomnego ze szczęścia i zdumienia.

ROZDZIAŁ II.

Mechanik Dick.

— Możecie gadać, co wam się podoba... Ja pozostaję przy swojem! Ta kobieta ma tyle czelności, co niejeden chłop. ...Pilotuje zuchwale i z zimną krwią. — To niema co gadać! Ale ona przynosi nieszczęście! Tego to już mi nikt nie wybije z głowy! Ona była na lotnisku, gdy pan Fernand nałamał drew i spartaczył Kormorana I. A nawet już myślano, że sam nóżki wyciągnie, ten nasz pan Fernand!

— A jednak to właśnie ona dała swą krew, by go ratować! Nie jesteś sprawiedliwy, Dicku!

— Co, niesprawiedliwy? Czy ci nie powiadam, że ma czelność? Ale jednak. Oto nasz Fernand się wylizał! Potem, nagle, mimo całego gadania dowiaduje się człowiek, że już mu się odechciało żenić z córką szefa... I lepiej jeszcze, oto Fernand i pan Piotr biorą się za łby, jak to wam już mówiłem. I Fernand rzuca budę, zatyka ją kołkiem i jedzie sobie do Brytów... Poczem dają sobie pyska z kamratem Piotrem, aż tu znów Piotr łamie swą „kukułkę" i pudłuje lot okrężny Starego Kontynentu... A wszystko to od czasu, kiedy ta dziewczyna się tu zjawiła. Dobra! jeśli wy, reszta, nie powiecie, że ona przynosi nieszczęście, gadajcie sobie, co chcecie, a ja się z wami nie zgodzę! A więc, do djaska! jakich wam jeszcze trzeba dowodów!

I Dick, który, mówiąc, wywijał trzymanem w ręce narzędziem, wzruszył ramionami i, mrucząc, począł sprawdzać swe części zapasowe.

— Żeby nie zgodzić się z temi sprawami, trzeba mieć mózgownicę zabitą na głucho, to pewnie!

— To wszystko są bajeczki! — rzekł sentencjonalnie kolega zwany „Wałach". — Wszystkie twoje dowody, to zwyczajny zbieg okoliczności, nic więcej!

— Tak! mój ptaszeczku! — przyznał mu Dick ironicznie.

— Możesz gadać, co ci się podoba, Dick — podjął znów „Wałach". — To jednak chyba nie jej wina, jeśli Japończyk zleciał z szybkością stu kilometrów na godzinę na tę, psiakrew, żerdź sterczącą! I to chyba także nie jej wina, że ją zostawiono na lotnisku, tę tykę...

— Gadaj sobie zdrów — odparł Dick, zbity z tropu. Ty pozostaniesz przy swojem zdaniu, ja zaś przy swojem, a to dlatego, że je właśnie podzielam. Zgoda już! serdeńko, nie psujmy sobie krwi. To wszystkie zmienia sprawy, że ten biedny pan Piotr ma areszt w łóżku na jakie trzy tygodnie i że, jeśli się nie mylę, firma Klemens Durand-Gardel i Syn będzie musiała poświęcić brzuchaty trzosik, żeby zaznaczyć jeszcze jedno bezwzględne zwycięstwo na swej liście honorowej. Bo ani Fangeres, ani Huron des Moulliers nie są ludźmi, którzy się wybiją.

— Powiedz-no, Dick! — wtrącił się werkmistrz, już od godziny tak trwa ta gadanina... Gdybyś tak zaprzestał trochę, na zmianę?

Dick zamilkł, rzucając w stronę Joberta ironiczne spojrzenie... Jeszcze jeden, którego zapewne usidliła swym uśmiechem...

Podczas długich chwil wszyscy pracowali w milczeniu... Słychać było ponad warsztatami warkot silników w niebiosach.

Nagle drzwi korytarza, prowadzącego do biur i magazynów, otwarły się i stanął w nich młody chłopak.

(D. c. n.)



O FILMIE DŹWIĘKOWYM



Z filmu 14 lipca



Znakomity nasz rodak, Jan Kiepura, w filmie dźwiękowym Pieśń Nocy.

Dzisiaj, kiedy wszystkie filmy są dźwiękowe, nie pamiętamy wcale, że jeszcze przed kilkoma laty kino nazywano „niemą muzą", i że pojawienie się dźwiękowców wywołało poprostu rewolucję zarówno w przemyśle kinematograficznym, jak wśród znawców i miłośników filmu. Ale dzieje się tak z każdym nowym wynalazkiem (auto, telefon, samolot, radjo i t. d.): najpierw ludzie odnoszą się doń z nieufnością, a już po kilku latach zdaje im się, że istniał zawsze i nie wyobrażują sobie, jak można było żyć bez niego.

Przypomnijmy sobie, jak to było z filmem.

W czasach kiedy był jeszcze „niemy", ilustrowano go zazwyczaj muzyką. Nazywało się, iż jest to konieczne, ażeby zagłuszyć szmer aparatu projekcyjnego, w rzeczywistości zaś chodziło o wypełnienie pewnej luki, którą pozostawiał obraz niemy. Ówczesna ilustracja muzyczna była zazwyczaj bardzo szablonowa, te same utwory powtarzano przy każdym prawie filmie, nie można więc powiedzieć, że przyczyniała się do wzmocnienia wrażenia, tem bardziej, że sztuka filmowa stała już dość wysoko, ażeby porozumieć się z widzem tylko przy pomocy obrazów, a więc zdjęć, światła i montażu. Ilustracja muzyczna poprostu była tylko dźwiękiem, który mile łechtał ucho, podczas gdy prawdziwym i jedynym odbiornikiem wrażeń był *wzrok*.

Jednakże dażenie do przerwania milczenia Dziesiątej Muzy musiało tkwić podświadomie w masach, skoro na rok przed pojawieniem się dźwiękowca, orkiestry filmowe zaczęły samorzutnie wprowadzać do ilustracji muzycznej różne odgłosy: bicie dzwonów, brzęk szkła, huk wystrzału i t. p. Dażenie do takiego słuchowego naturalizmu ciągle się wzmogało, tak, że film dźwiękowy znalazł dla siebie grunt przygotowany. Gdy pewnego dnia ze srebrnego ekranu runęła fala dźwięków, znalazła ujście w tęsknocie ówczesnego widza do jak największego akustycznego realizmu. Zapomniano, że organem mowy filmu jest aparat, zaś językiem — obrazy. Zapomniano, że samym obrazem, wizją można działać na widza tak sugestywnie, że wywoływało się w nim taką reakcję, jakgdyby działało się jednocześnie na inne zmysły, nietylko na zmysł wzroku. Zapomniano wogóle o sztuce, podziwiano — wynalazek. Producenci filmów dźwiękowych uważali się za czarnoksiężników, którym udało się z nikłych cieniów wyzwolić utajoną siłę, siłę słowa i dźwięku, i szafowali nią bez miary.

Dlatego też pierwsze dźwiękowce cofnęły sztukę filmową prawie do jej początków. Akcja była uboga, pozbawiona ruchu, bo wszystko musiało skupiać się w jednem miejscu, tuż pod mikrofonem. Bohaterami i bohaterkami byli najczęściej śpiewacy i śpiewaczki, gdyż głównie chodziło o jakieś popisowe arje. Dodajmy do tego straszliwie długie i nudne dialogi, oraz „odgłosy", takie jak dzwonek telefonu, pukanie do drzwi, oklaski i t. p., a będziemy mieli wzór pierwszych dźwiękowców, których ojczyzną była Ameryka.

Po pierwszych zachwytach dla „cudu" technicznego wśród widzów — zwłaszcza europejskich — nastąpiło otrzeźwienie. Całkowity bezruch na ekranie znudził się, a „odgłosy" przestały bawić. Ostatecznie pukanie do drzwi, czy brzęk stłuczonej szklanki to nie są wrażenia, których się szuka w kinie.

Zrozumieli to filmowcy europejscy, i im to przypada w udziale pchnięcie filmu dźwiękowego na nowe tory. Dźwięk staje się czemś więcej, niż bezmyślną kopją rzeczywistości, staje się — materjałem twórczym. Znamiennym, a może przełomowym punktem w rozwoju dźwiękowca był „Atlantic", film zrealizowany przez E. Duponta, którego treść stanowi katastrofa na wielkim oceanicznym okręcie. Po raz pierwszy w filmie dźwiękowym nie jesteśmy w teatrze lub za kulisami i bohaterzy nie darzą nas piosenkami i wkładkami muzycznemi. Zamiast „muzyczności" mamy tu „akustyczność". Jęk syreny okrętowej, stuk aparatu radjowego, syk rakiet-sygnałów — nie są to już tylko „wzmacniacze" wrażeń wzrokowych, jak to bywało dotychczas, t. j., że słyszało się jednocześnie to, co się widziało. Tutaj po raz pierwszy mamy *krzyżowanie wrażeń wzrokowych i słuchowych:* naprz.: patrzymy na ludzi tłoczących się do łodzi ratunkowych i jednocześnie słyszymy ryk syreny, wzywającej pomocy. Albo inna scena: ludzie szalejący ze strachu, pragnący za wszelką cenę się ratować i — orkiestra w pasach ratunkowych, wygrywająca „wesołe kawałki", w celu podtrzymania na duchu tych, dla których już niema ratunku. Kontrast między obrazem a dźwiękiem jest czemś nowem, mającem już cechy twórczości.

Dalszym etapem na drodze rozwoju filmu dźwiękowego jest twórczość francuskiego reżysera Rene Claira. Film jego „Pod dachami Paryża", jeszcze dziś po czterech latach od chwili narodzenia, mało ma sobie równych pod względem harmonji we wzajemnem ustosunkowaniu obrazu, dźwięku i słowa. Clair też jest odkrywcą tajemnicy stosowania dialogu w ten sposób, że jest on organicznie związany z całością, nie przytłacza, nie hamuje akcji i nie spycha w cień wrażeń wzrokowych. Nazwisko Rene Claira należy zapamiętać; stoi on w pierwszym szeregu twórców kompozycji ruchowo - dźwiękowej.

Najnowszą zdobyczą filmu dźwiękowego jest t. zw. montaż dźwiękowy. Łączenie lub rozdzielanie dźwięków w czasie i przestrzeni daje efekty zupełnie nowe, możliwe tylko w kinie. Weźmy naprz. scenę z filmu „Śpiewak nieznany" reż. Turżańskiego, gdzie dużą rolę gra radjo: arja śpiewana przed mikrofonem w Paryżu słyszana jest w różnych punktach kuli ziemskiej, a więc przy tych samych dźwiękach widzimy różne obrazy. Często też spotykamy łączenie scen przy pomocy dialogu (nprz. w jednej scenie słyszymy, że dwaj automobiliści mówią o wyścigach samochodowych, w drugiej scenie, o tych samych wyścigach mówią panie u krawcowej, mierząc odpowiednie toalety — dwa całkowicie różne obrazy, połączone przy pomocy tego samego tematu rozmowy). Montaż odgrywa dziś w filmie tak ważną rolę, że każda prawdziwa miłośniczka kina powinna wiedzieć, co to słowo oznacza. Reż. Mamoulian, też jeden z najwybitniejszych realizatorów, jest znów twórcą innego efektu dźwiękowego: wprowadza możliwość słyszenia tego „co komu się w duszy gra" — głosy sumienia, czy ukryte myśli, które słyszymy, choć aktorzy milczą. Postęp w filmie dźwiękowym jest już tak wielki, że nawet tam, gdzie największą atrakcją filmu ma być śpiewak — śpiew nie psuje wartości wizualnych ani ruchowych filmu, jak to bywało dawniej. Przykład takiego doskonałego filmu, w którym bohaterem jest śpiewak, mamy w „Pieśni nocy" z Kiepurą.

Można jeszcze dużo powiedzieć o dźwięku w zastosowaniu do filmu rysunkowego oraz do reportażu, ale do tego wrócimy innym razem.

Narazie spójrzmy tylko na chwilę wstecz, na różne fazy, jakie przechodził film dźwiękowy i skonstatujmy rzucającą się w oczy i w... uszy różnicę między tem, jak wyglądał w chwili narodzin, a w dniu dzisiejszym.

Stef. H.

HANNA JANUSZEWSKA

I L J A S

(Nowela)

Sofinetka nie była Zosią. Była to zupełnie inna osoba. Twarde płótno dziewczyńskich przyodziewków zastąpił muślin i gaza nakrapiana w drobne kwiatki. Zosia została tam, we wspomnieniach dziecinnych dokazywań, łez, obżerania się konfiturami i piernikiem z matczynej spiżarni. Sofinetka miała lat szesnaście. Długi bat staroświeckiego warkocza zmienił się w falisty puch modnej fryzury „a la Titus". Ręce bielone ogórkowym mastyksem traciły powoli ślady zadrapań i skaleczeń z awantur, odprawianych w rodzicielskim ogrodzie. Sofinetka była dorosła. Tylko oczy pozostały te same. Oczy utrapionej smarkatej. Żywe, a dzikie, łyskające zuchwałem spojrzeniem. Guwernantka, która drogą na Petersburg trafiła do domu państwa Opolskich, jęczała często wieczorem w swoich pokojach. Stękała ,odejmując na noc żółte „fioczki", które udawały wdzięk złotych włosów przy jej zwiędłej twarzy. Co tam mruczała — dokładnie niewiadomo. Ale było to napewno pod adresem Sofinetki.

— Une demoiselle insupportable. Une jeune fille tout a fait sauvage...

Koniec końców, by Sofinetkę czemś na dłużej zająć, i uspokoić, sprowadzono do Opola fortepian. Długi pakunek staszczono z pocztowego wozu przed ganek. Wszyscy — nawet „Maman" — byli przejęci. Stanął oto długi, ciemny, podobny do cudackiego pasikonika przy pięknych mahoniach opolskiego dworu. Wślad za nim zjawił się monsieur Gaston Piffard. (Polecony, jako „metr muzyki" przez panią hrabinę z Jaworowej Woli).

Sofinetka, ujrzawszy go — oniemiała. Wydał się jej piękny. Piękny! Cudowny! Błękitnawa od golonego zarostu broda tonęła w miękkim halsztuku. Gołębie ubranie, niebywałe pelerynki przy szerokim płaszczu, w którym przyjeżdżał na lekcję, były ostatnim krzykiem mody. Naciskanie pedału dawało mu tysiąc okazyj do uwag nad boskim („divin!") kształtem nogi polskich panien. Niski głos, stworzony do czułego szeptu, mówił o tajemnicach harmonji i o piękności młodych, wysmukłych, trochę chudych palców. Gamy szły opornie. Pokazy pana Gastona w cichym wiolinie zajmowały więcej, niż nauka, czasu. Czasem pod delikatny wtór pasaży i minorowe tremolando rozlegał się wdzięczny, egzaltowany głos Sofinetki:
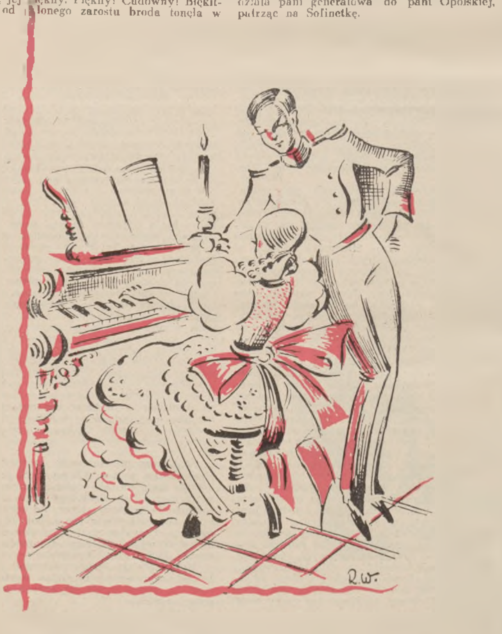
— Vous chantez sous ces feuillages,
doux rossignols pleins d'amour;
et de vos tendres ramages
vous reveilez tour a tour
les echos de ces bocages.
Hélas, petits oiseaux, helas!
Si vous aviez mes maux — vous ne chanteriez pas!

Śpiew milkł. Błyszczące oczy ognistej dzierlatki spoczywały z upodobaniem na ciemnej głowie, pochylonej nad klawiszami.

— Vous chantez sous ces feuillages
doux rossignols, pleins d'amour...

Kiedy ciepłe majowe wieczory pozwoliły na rozwieranie okien, do opolskiego salonu wtargnął świeży zapach bzów. Co wieczór śpiewały słowiki. Wuj Ksawery przysłał Sofinetce z Warszawy flakon z napisem „Ambre". Odtąd kwiatowe muśliny pachniały oszałamiająco.

— Elle est tout a fait jolie — powiedziała pani generałowa do pani Opolskiej, patrząc na Sofinetkę.



Krótkie włosy ostrzyżone „a la Titus" opadły przy gwałtownem pochyleniu głowy na rozpaloną twarz. Rozkoszny rumieniec radości rozgrzał skórę

— Elle est jeune. Voila tout — odparła matka.

Pani generałowa spojrzała mimochodem w lustro, odbijające niewyraźnego koloru loczki przy zaostrzonym profilu, i z nieuchwytnem westchnieniem odwróciła głowę.

— A jakże tam lekcje muzyki, Sofinetko? Ten Gaston Piffard ma wiele zręczności. Doskonale ćwiczy palce! Montre-moi ta main, chérie. Wydaje mi się nieco więcej elastyczna i bielsza niż dawniej? Czy wcierasz maść ogórkową tak, jak ci radziłam? No i chyba nie pracujesz już w ogrodzie!

— Skądże! — matka aż poruszyła się na krześle. — Ma już lat szesnaście! Nie może jak byle kto kopać się w ziemi.

Sofinetka nie mówiła nic. Cóż mogła powiedzieć przy tem cudownem drżeniu, które przebiegało ją zawsze, kiedy wspominano przy niej o „tych" sprawach. Młodość splotła się z melodiami, ze słowem rzewnem z pochyleniem pięknej, ciemnej głowy nad klawiszami.

....vous chantez, doux rossignols plens d'amour..."

Głos generałowej dobiegł, jak z bardzo daleka:

— Czy pamięta pani mego siostrzeńca, Zygmunta Szareckiego?

— Ce petit Sigi? Toż to jeszcze dzieciak!

— Jest w szkole podchorążych!

— Czyż to możliwe! Ah, que le temps coule!

Jakże płynie czas! Sofinetka pamiętała Zygmunta dobrze. Przyjeżdżał przecież do Opola nieraz. Zły był i zaczepny. Bez pardonu prał chłopców i dziewczęta, kto mu tylko w drogę wlazł. Pamiętała spuchnięte ręce, podrapane nogi i warkocz pełen wiórów i patyków. Wszystko z winy Sigiego Wodził ją w braku chłopackiej kompanji po łaszczach i wertepach. Gadał po łacinie, jak z nut, wykuty dziwnie dźwięcznych, a niezrozumiałych dla Zośki wierszy przez księży-nauczycieli. Sigi w mundurze! Jakie to śmieszne!

Sofinetka widywała nieraz wojskowych. „Prezentowali się" strojnie i sztywno. Tak wymagał Wielki Książę. Jakże Sigi wygląda teraz! W żadnym razie (z pewnością!) nie jest tak piękny, jak Gaston Piffard! Sofinetka przymknęła oczy. Pod powieki napłynęła wizja w potrójnej pelerynce na miękkim płaszczu, w gołębiem ubraniu, z błękitnawą brodą, tonącą w puszystym halsztuku.

— Ter-ter-ter — furkotały głosy matki i generałowej.

Kiedy bzy okwitły i ogród wieczorem dławił się czadem jaśminu, Sofinette napisała w safjanowym pamiętniku:

„Je l'aime".

Sformułowanie wyznania zawstydziło ją. Dygocąc, zatrzasnęła klamrę pamiętnika. Stało się: jest zakochana.

Gamy szły lepiej. Wysmukłe palce wystukiwały tryle. Pan Gaston gadał przez pół godziny. Drugie pół — wtajemniczał Sofinetkę w tajemnice fortepianu. Guwernantka, której zadaniem było asystować przy lekcjach „grania", drzemała w przytulnych fotelach . W skąpo oświetlonym salonie pan Gaston opowiadał pannie Opolskiej swoje dzieje. Sofinetka rozpalona z sercem tłukącem słuchała jego słów, jak cudownej bajki. Czego tam nie było! Bogactwa, bankructwa, gilotyny, emigracja. Dzieciństwo nad mglistą Newą. I lekcje tu i tam. Dwory, pałace. Długie, czarne fortepiany. „Madame la duchesse". Madame „Goubernator". I Polki. Jak kwiaty! Jak anioły!

Świece migotały. Ręka muzyka blada i wąska, wynurzająca się z pachnących, trochę przybrudzonych mankietów, dotykała ręki Sofinetki.

Hélas! petit oiseau — helas!
Si tu avais mes maux — tu ne chanterais pas!

Sigi Szarecki zjawił się w końcu września. Liście w ogrodzie już zaczynały żółknąć. Przyjechał z ciotką generałową. Na tle mahoniowego oparcia krzesła twarz jego była blada i ostra.

— Tu u was bardzo cicho — powiedział do Sofinetki. Głos jego był tak twardy, że brzmiało to, jak wyrzut.

— Jak na wsi. Zdala jesteśmy od wszystkiego. Papa też gospodarstwem tylko zajęty.

— Cóż ty porabiasz, Zosiu?

„Zosiu". Poprostu. Zwyczajnie. Zdawało się, że pozował trochę, boć w nim samym, mimo ostrości i nieco robionego żołdactwa, była jakaś leciuchna maniera, a nieposzlakowany mundur nie przywoływał na myśl trudów koszarowych. Tylko, że ta maniera była inna, niż minki Sofinetki.

— Cóż porabiasz? — powtórzył.

— Uczę się z „madame" i grania.

— Tak? Uczysz się?

Rumieńce zawstydzenia uderzyły znów na twarz Zosi Opolskiej.

— Tak. Daje mi lekcje pan Gaston Piffard.

— Ta kukła!? No... no...

— Czemu tak mówisz o nim! Il est extrement distingue i z dobrej rodziny.

Lecz on, nachyliwszy się blisko, tak, by tylko ona słyszała jego słowa, szepnął prosto w rozczerwienione złością uszko:

— Moskiewski wycieruch. Niepewna lala...

Ogień buchnął na Sofinetkę. Omal nie krzyknęła głośno, tak jak kiedyś w czasie ich zabaw dziecięcych w opolskim ogrodzie:

— Milcz!

Lecz nie była Zosią: była Sofinetką i poprzestała na odsunięciu się od niego na sam koniec krzesełka.

Sigi spojrzał na nią jasnemi oczami i ślicznym, zmanierowany uśmiech wykrzywił jego młode usta.

— Ty sama jesteś lala... Śliczna lala — powiedział.

Obelgi rzuconej w twarz dorosłej osobie nie zapomina się prędko. Cały dzień Sofinetka nie zagadała nawet do Sigiego. Ugrzeczniona — bawiła rozmową generałową. Podawała owoce osmażane, złote opolskie jabłka, kawę ze śmietanką.

Lecz wieczór zbliżył ich znowu w ciemnawym pokoju. Wtedy on ozwał się do niej:

— Słuchaj. Nie chciałem ci powiedzieć nic, coby cię miało zaboleć. Zagraj mi co. Jutro rano jadę.

Chciała fuknąć. Podniosła hardo głowę, potrząsając pięknemi włosami.

On powtórzył ze swoim gorzkim uśmieszkiem:

— Zagraj. Jutro jadę.

Nie wiedząc, czemu mu ustępuje, podeszła do fortepianu. Nieudolnie towarzysząc sobie brzękliwym akompanjamentem — zaśpiewała cichutko:

— Vous chantez sous ces feuillages,
doux rossignols, pleins d'amour...

Pokój wypełniał się mrokiem. Bosa Maryś, dudniąc piętami, wniosła do pokoju świece.

Cienie Sofinetki i Sigiego urosły na ścianach.

— Rzewnie ci?

Podniosła zdumione oczy. Zgubiła takt.

Jak jest w tej piosence?

Nie mogąc doszukać się dźwięków, pół mówiąc, pół śpiewając, jak ptak ciągnęła refren.

Lekki wiatr poruszał płomień świec. Cienie tańczyły na ścianach. Sigi podszedł bardzo blisko.

— Posłuchaj... ptaku. Są jeszcze inne wiersze. Czy je znasz?

Oczy świeciły mu dziko. Panna Opolska poczuła się nagle mała i nic nie znacząca ze swoją miłością i ze swoją muzyką.

— Zapamiętasz te wiersze? Słyszysz? Choć ponoć tylko mężczyzna pojąć może, ile piękna w nich się mieści.

Zza miękkich włosów zaświeciły złe oczy panny. Nie pojmie? Ona! Ona, której miłość otwarła oczy na wszelkie piękno świata!

Grymaśny, modny uśmiech skrzywił znów nawpół dziecięce usta Sigiego, a w chwilę potem z mrocznego pokoju doszły Sofinetkę dziwne, rytmiczne słowa:

— To czuwają Trojanie. Na achajskie nawy
padnie postrach okropny. Duch ucieczki
krwawej
i bohaterów smutek bezmierny przytłoczy...")*



Rytm wierszy wydał się Sofinetce dudnieniem wojennych tarabanów. Stukały gałęzie o otwarte okno. Chwila dziwnie ważka, inna od wszystkich innych, zatrzymała dech.

Sigi pół salonowym, pół żołnierskim krokiem podszedł do fortepianu. Nieudolnym gestem, tak niepodobnym do misternych ruchów Gastona Piffard, rozłożył palce na klawiszach, szukając akordu. Uderzył twardo majorowy trójton:

— Arma virum-que cano — powiedział ochrypłym głosem.

Gdy pierwsze wieści o tem, co się stało w Warszawie, trafiły w okolice Opola — wszczął się wokoło niespokojny ruch. Ruch ten przygnał, jedną z najpierwszych, karocę generałowej przed opolski ganek.

— Cherie! Cherie! — nawoływała strojna dama, całkiem poprostu pociągając nosem. Zapłakana zapomniała o swojej życiowej dewizie: „toujours belle". Płowe, barwione loczki rozwiewały się wkoło skóry policzków, zmiętej, postarzałej od łez. Gramoliła się z drzwiczek karety nieszczęśliwa, raptem niezręczna i zgarbiona. Za nią w wybitem aksamitem wnętrzu karety był jeszcze ktoś. Po chwili wysunął się stamtąd, jak z ciepłej łupiny, dawno niewidziany „on". W fałdach pelerynek szary i niepozorny. Jak szczur, który ucieka z płonącego okrętu. Panna Opolska odwróciła głowę. Oczy jej, które przez ten groźny czas płakały prawdziwemi łzami, spojrzały na gołąbkowego kawalera innym niż dawniej wzrokiem.

Patetyczną a rozgadaną chwilę powitania matki z generałową przerwał podryw wiatru, który wszystkich wpędził do domu.

— Musiałam go zabrać z sobą — szeptała plotkarskim tonem zdenerwowana dama. — Il a une opinion... niekoniecznie wygodną w tych czasach... Mali siostrzeńcy hrabiny „ont voulu le battre tout simplement". Żal mi go było. To dobry chłopiec i zabawny. Figure-toi...

Wszystko znów zmalało w codziennym szepcie: ter... ter... ter...

Wszystko było małe, maleńkie, zwyczajne, jak ptasi, niesforny świegot ćwierkała półfrancuska rozmowa: (Mes petits oiseaux helas! Si vous saviez mes maux — vous ne chanteriez pas!).

Pan Gaston Piffard, mały i jakiś skurczony, ginął w cieniach opolskich foteli. Zofja patrzyła mu w twarz stalowemi, pięknemi oczami. Myślała poprostu i nieobyczajnie:

— Wycieruch moskiewski! Kukła! Kukła!

Gniew się w niej palił. Na wszystko, co się tutaj działo. Na to gadanie z nim, z „tym" Gastonem, na tę ciszę, na tę odległość od „tamtych"...

Fortepian, jak czarny cień, znaczył się w kącie pokoju. Pannie Opolskiej wydało się z bolesnem ściśnięciem serca, że oto już nigdy struny nie wydadzą głosu. że ostatnim ich dźwiękiem był tragiczny akord Zygmunta, podchorążego.

Ter-ter-ter — terczała konwersacja. Panna Zofja podniosła rękę do skroni.

— Głowa cię boli, Sofinette. Idź się położyć.

Trzymając się kurczowo drewnianej poręczy, poszła po wąskich schodach na piętro. Weszła do chłodnego pokoju. Za oknem dudnił wiatr. Przy akompanjamencie świstu sięgnęła do szuflady. Drżąc od wewnętrznego podniecenia, otworzyła safjanowy pamiętnik i zdecydowanym ruchem szarpnęła kartę, na której kiedyś napisała, myśląc o Gastonie: „Kocham". Welinowy papier został w jej ręku. Wzięła pióro i trzymała je chwilę nad białą kartą pamiętnika. Wreszcie, patrząc na groźne cienie łopocących za oknem gałęzi, napisała:

To czuwają Trojanie... Na achajskie nawy
padnie postrach okrutny...

---

*) Wyjątek z „Iljady" Homera.

NA LODZIE





Robi się na świecie coraz zimniej i można już zacząć marzyć o ślizgawce! Łyżwiarze, którzy myślą o poważnym treningu, nie mogą jednak bezczynnie czekać, aż w Warszawie ustali się mróz.

To też Polski Związek Łyżwiarski, dbając o należyte przygotowanie naszych zawodników do mistrzostw Warszawy, Polski i wszelkiego rodzaju imprez międzynarodowych, organizuje w Katowicach na sztucznem lodowisku kurs jazdy pod kierunkiem znakomitego trenera p. Decombes, który wyszedł z najlepszej na świecie szkoły, bo ze szkoły wiedeńskiej. Na trening ten zdają się najlepsi łyżwiarze ze wszystkich miast polskich. W stolicy prowadzone będą również pod kierunkiem zagranicznego trenera kursy jazdy figurowej i szybkiej, jednakże dopiero w połowie stycznia i lutego. Do tego więc czasu warszawscy łyżwiarze będą trenowali zupełnie samodzielnie, korzystając jedynie ze wskazówek, których im udziela obecnie w godzinach t. zw. suchej zaprawy mistrz Polski, Iwasiewicz.

Zaprawę taką organizuje co roku dbałe o poziom klubu Warszawskie Towarzystwo Łyżwiarskie przed otwarciem sezonu, aby łyżwiarze mogli wejść na lód już w pełnej formie i nie tracąc drogiego czasu na „podciąganie się". W tym roku, już od 5-go października prowadzona jest gimnastyka ogólna przez doskonałego sportowego trenera p. Szelestowskiego, zaś gimnastyka specjalna i teorja przez p. Iwasiewicza.

Sześciotygodniowy program obejmuje w pierwszej fazie zaprawę ogólną dla rozruszania ciała i umiejscowienia wnętrzności, które bez odpowiedniego przygotowania mogłyby ulec obsunięciu lub innym uszkodzeniom przy skrętach, skokach i tym podobnych ewolucjach na lodzie. Dalej przewidziana jest gimnastyka wzmacniająca mięśnie oraz stawy, jak również ćwiczenia na niezbędną dobremu łyżwiarzowi elastyczność. Jednocześnie odbywają się wykłady z zakresu higjeny sportowej i z teorji jazdy na lodzie, połączone z ćwiczeniami i przykładami praktycznemi „na sucho".

Technika łyżwiarska bowiem wymaga bardzo precyzyjnego opracowania. Podstawą jej jest 41 figur przepisowych, które wchodzą w skład każdych zawodów, to też brak precyzji w wykonaniu ich mści się ogromnie na punktacji zawodnika. Sędziowie nie postawią wysokiej noty łyżwiarzowi, który jest w jeździe dowolnej efektowny, natomiast w jeździe szkolnej wykazuje się słabą techniką, czyli że figury przezeń wykonywane nie mają idealnego rysunku i owego dokładnego „pokrycia", które jest wymagane. Stąd ocena sędziów wydaje się często laikom niesprawiedliwa wobec jednostek naogół uzdolnionych, które mają wyczucie efektownej postawy i wrodzoną dystynkcję ruchów w jeździe dowolnej.

Do wybicia się w tej dziedzinie sportu konieczna jest wytrwała i systematyczna praca, od której nie są zwolnione nawet takie fenomenalne talenty jak mistrzyni świata, Sonja Henje. Pomimo cudów, których dokazuje władczyni lodowego królestwa, trenerzy są dla niej bardzo surowi i wymagający, gdyż z chwilą, gdyby Sonja syta triumfów spoczęła na laurach, natychmiast jej tytuł zostałby zagrożony przez wschodzące gwiazdy łyżwiarstwa, które corocznie wybłyskują na lodowej tafli. W zeszłym roku najgroźniejszą rywalką mistrzyni świata była urocza wiedeneczka Hilda Holowsky, która jednak zmarła wkrótce na ślepą kiszkę, zdążywszy zaledwie olśnić świat swym niezwykłym talentem na zeszłorocznych mistrzostwach świata w Londynie. Miejsce jej w nadchodzącym sezonie zajmie prawdopodobnie primaballerina opery w Sztokholmie, 12-letnia Szwedka Hulteen i z nią to Sonję Henje czeka ciężka walka o palmę pierwszeństwa. Sonja, jak większość gwiazd tego sportu, jest baletnicą, która nietylko porywa wdziękiem i talentem, ale zadziwia imponującą wprost techniką jazdy. Ci, którzy ją widzieli na lodzie, nie mają słów na opisanie tego, zaiste czarodziejskiego, zjawiska, jakiem jest taniec młodziutkiej N o r w e ż k i, dzisiaj już ulubienicy całego świata. To też łatwo zrozumieć, jak gorączkowo oczekują Katowice zapowiedzianego przyjazdu Sonji Henje, jak również mistrza świata Schaeffera i jeszcze kilku znakomitości zagranicznych tego sportu, którzy uświetnią nasz tegoroczny sezon łyżwiarski.

W Polsce wybiło się ostatnio na horyzoncie łyżwiarstwa k i l k a prawdziwych talentów: Lena jest mistrzynią świata w jeździe szybkiej, który to tytuł w poprzednim sezonie należał do naszej znakomitej Nehringowej, Kalbarczyk jest w tej samej konkurencji mistrzem wszechsłowiańskim, podczas gdy mistrz Polski, Iwasiewicz, zdobył jednocześnie pierwsze miejsce w jeździe figurowej. (Igrzyska Wszechsłowiańskie w Morawskiej Ostrawie, luty 33 r.).

W obecnej chwili na czołowych miejscach w Polsce stoją w jeździe figurowej: Popowiczówna, Iwasiewicz i para Bilorówna — Kowalski.

Z zeszłorocznych zawodów łyżwiarskich, mających się odbyć w Polsce, wymienić należy: Wszechsłowiańskie Igrzyska Łyżwiarskie, połączone z Mistrzowstwem Polski w Warszawie (luty), Międzynarodowe Zawody w Zakopanem (w styczniu).

Irena Pamska.

RADA W RADĘ

Rok rocznie jeden i ten sam kłopot wykwita przed nami w okresie od Świętego Mikołaja do Gwiazdki, co kupić swojemu rodzeństwu, czem ich obdarować, tak, żeby oni mieli rzetelną przyjemność, a my — możliwy dla naszej kieszeni wydatek.

Że naogół książki są najmilszym i najtańszym prezentem, to już ogólnie wiadomo, chodzi tylko o to — jakie książki.

Tow. Wydawnicze „Bluszcz“, które wydaje „Świat Dziewcząt“, chce jak najlepiej zaradzić wszystkim dziewczęcym kłopotom, poleca szereg książek, które każdej małej siostrze i każdemu małemu bratu sprawią wielką przyjemność.

Znacie naprzykład ze „Świata Dziewcząt“ nazwisko Hanny Januszewskiej. Otóż napisała ona kilka prześlicznych książek dla dzieci, jak: *Ele-Mele Dudki*, *Jawor, Jawor, Jaworowe ludzie*, *Zgóry na Mazury*, i *O kocie, co faję kurzył*.

Druga, także znana Wam ze Świata Dziewcząt, autorka napisała: *Jędrusiowe bajki*, oraz *Trzy Miki z Ameryki*, prześliczne historje, dla naszego małego rodzeństwa.

Pozatem Tow. Wydawnicze „Bluszcz“ wydało jeszcze prześliczne *Bajeczki z Podwóreczka*, *Bajdy ciotki Adelajdy*, *Przyszła Koza do Woza*, *O Leniuchach lekkoduchach*, *Łap — Cap*, *Cudowne Okulary*, *Baśń o trzech siostrzyczkach*, wszystko to Lucyny Krzemienieckiej, oraz Felicji Kruszewskiej *Braciszek* i *O bałwanach śniegowych i o śmierczynce*.

Pamiętajcie więc: jeśli chcecie młodszemu rodzeństwu albo znajomym dzieciom sprawić jak największą przyjemność, żądajcie w księgarniach książek Tow. Wydawniczego „Bluszcz“. Mają one prześliczną treść, są ładnie i bogato ilustrowane, oprawne w trwałe kolorowe oprawy i... bardzo tanie. Więc umawiamy się, dobrze? Tylko książki Tow. Wydawniczego „Bluszcz“.

KURJER DEKADOWY Nr. 12 — 20. XI.—1. XII. 1933 r.

Uznanie Sowietów przez Stany Zjednoczone.

Przez lat szesnaście Ameryka nie decydowała się uznać Państwa Sowieckiego. Dopiero dziś, z chwilą, gdy Z. S. S. R. zaczyna prowadzić coraz bardziej pokojową politykę, porzucając ostatecznie hasło wzniecenia rewolucji wszechświatowej, padają też ostatnie barjery, które oddzielały je dotąd od świata. Uznanie Sowietów przez Amerykę, które nastąpiło oficjalnie w tych dniach, jest wybitnym sukcesem tej polityki sowieckiej, i wprowadza wielkie odprężenie w trudnej sytuacji, w jakiej znalazły się Sowiety na Dalekim Wschodzie. Zarówno bowiem interesy Rosji, jak i Ameryki zbiegają się tu całkowicie, przeciwstawiając się zbytniej ekspansji Japonji.

Plebiscyt w Niemczech.

Dnia 12 listopada r. b. odbył się plebiscyt niemiecki, w którym Rzesza wypowiedzieć się miała, co do postanowienia Hitlera o wystąpieniu Niemiec z Ligi Narodów. Rezultat był zgóry wiadomy, i przewidziany. Polityka kanclerza została w pełni uznana przez naród niemiecki i w ten sposób uchwalona ostatecznie decyzja z 14 października. Nie ułatwiło to wcale sytuacji międzynarodowej, i dalsze losy konferencji rozbrojeniowej, do której rozbicia dążą Niemcy, są wciąż w zawieszeniu. Tymczasem w Genewie toczą się rozmowy pomiędzy przedstawicielami najbardziej zainteresowanych państw (a więc również z udziałem Polski, w celu porozumienia się i znalezienia argumentów, dla nakłonienia Niemiec do powrotu na konferencję rozbrojeniową.

Lotnicy polscy w Moskwie.

Po raz pierwszy na wielkich dorocznych uroczystościach obchodu rocznicy rewolucji w Rosji znalazła się oficjalna delegacja wojska polskiego. Delegację tę reprezentowaną przez lotników naszych z płk. Rayskim na czele, witano owacyjnie w Moskwie, i po raz pierwszy flagi polskie powiewały w stolicy sowieckiej poza obrębem poselstwa. Obecność polskich lotników na placu rewii wywarła wielkie wrażenie wśród zebranych przedstawicieli państw obcych, a publiczność moskiewska zgotowała im gorącą owację.

Challenge 1934 w Polsce.

Jak dotąd w międzynarodowym konkursie lotniczym, który odbędzie się zkolei w Warszawie, latem 1934 roku, przyrzekły udział Francja, Włochy, Czechosłowacja i Niemcy. Trasa Challenge'u biec będzie: Warszawa, Królewiec, Berlin, Kolonja, Paryż, Bordeaux, Pau, Madryt, Sewilla, Casablanca, Meknes, Sid Bel Abbes, Algier, Biskra, Tunis, Palermo, Neapol, Rzym, Rimini, Padwa, Zagrzeb, Wiedeń, Brno, Praga, Katowice, Lwów Wilno, Warszawa.

Atak gazowy na Warszawę.

W dniu 14 i 15 listopada odbyły się pokazowe ataki gazowe na terenie naszej stolicy. Już w przeddzień ataku Warszawa przedstawiała ciekawy widok — wszystkie okna malowniczo zabezpieczone paskami papieru: w dniach krytycznych Warszawa zachowała spokój i publiczność sprawnie stosowała się do rozporządzeń władz, nie wywołując nigdzie żadnego zamieszania. Atak spełnił swe zadanie — przyzwyczajenia ludności na wypadek prawdziwego niebezpieczeństwa.

Budowa wielkiego Jazu.

Ogromnym krokiem naprzód w rozbudowie gospodarczej jest zakończenie budowy wielkiej tamy na Bugu, która podnosi poziom wody i umożliwia żeglugę do Wisły. Jest to pierwszy krok do nowoczesnej przebudowy sieci dróg wodnych na Polesiu, a następnym etapem będzie budowa nowego jazu na uregulowanym już Muchawcu.

205 dni szkolnych.

W związku z nowym ustrojem szkolnictwa, min. Oświaty ustaliło ostatecznie czas trwania roku szkolnego i rozkład zajęć w gimnazjum nowego typu. Rok szkolny obejmuje cztery okresy po dwa w każdem półroczu — pierwsze kończy się ferjami Bożego Narodzenia. Rok szkolny obejmuje 205 dni, po 32 godziny lekcji tygodniowo, poza dwiema godzinami popoł. przeznaczonemi na gry sportowe.

Nowa polska taryfa celna.

Z dniem 10 października weszła w życie nowa taryfa celna. Jest ona wynikiem długoletnich studjów i daje nam możność dostosowania się do nowych prądów w międzynarodowej polityce gospodarczej. Zmierza ona do zapewnienia skutecznej ochrony wytwórczości polskiej i służyć będzie jako podstawa do zawierania nowych traktatów handlowych. Ze względu na postęp techniki i wiedzy towaroznawczej, rozszerzona została w niej znacznie liczba pozycyj, obejmując zamiast 217 — 1275.

Taryfa ta zawiera dwa rodzaje stawek celnych: 1) niższych, stosowanych wobec krajów, z któremi Polska posiada traktaty handlowe, i 2) wyższych (o 25 proc.), dla krajów niezwiązanych z nami traktatami. Na podstawie tej taryfy zawarliśmy już umowę z Austrją i Belgją, jesteśmy w toku rokowań z Francją, Czechosłowacją, Szwecją, Holandją i Szwajcarją. Przewidywane są w dalszym ciągu rokowania z Anglją i Włochami.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

A TERAZ POROZMAWIAMY

Wiaterku od morza! Strasznie długo i bezskutecznie wiałeś w naszym kierunku i oto dopiero teraz otrzymujesz odpowiedź. Jest w tem trochę naszej winy, ale nie tak znowu dużo, zważywszy, że giniemy poprostu pod stosami listów, a mamy tak mało miejsca na ich drukowanie. Przytem, „Świat Dziewcząt" nie wychodził podczas wakacyj i dopiero teraz nagwałt odrabia zaległości. No, chyba się już dosyć wytłumaczyłyśmy. A teraz sprawy inne. Jakże przyjemnie mieszkasz, że nad morzem, że w pięknym Gdańsku i że jeździsz do szkoły do Orłowa. No, w zimie, to jest może mniej przyjemnie, ale wogóle cudo! Jeżeli się nie obraziłaś na nas zupełnie, to napisz coś więcej o tym kawałku Polski. Może to właśnie będzie coś dla „Stronicy". Tymczasem — żegnaj Wiaterku i pisz!

Incognito, zupełnie niema sensu, że nazywasz pisanie do nas listów natręctwem. Ostatecznie, to nasza wielka przyjemność, takie listy od naszych Czytelniczek, tem bardziej, gdy są tak miłe, jak twój liścik. Gorzej, że „nas" nie prenumerujesz. Zawsze takie pożyczane numery są jakieś „obciejsze", niż swoje, przychodzące co 10 dni, jak dobry znajomy z wizytą. Pomyśl nad tem Incognito! A co do znaczków to przysyła się je tylko w liście, które via Redakcja mają iść dalej. To takie proste!

Helutka J. Twoje książkowe marzenia Helutko będą spełnione, bo na kolumnie Kultura i Sztuka będziemy pisały o książkach możliwie najczęściej. Co do Twojej matematyki i rysunków, to myślę, że architektura może być dla Ciebie bardzo odpowiednia. Poszukaj w roczniku „Świata" masz o tem dwa obszerne artykuły w „Za progiem".

Sopraniku, na wszystkie twoje zmartwienia znajdziesz może lekarstwo w artykule o samokształceniu, który mamy zamiar zamieścić w „Świecie". Poczekaj więc trochę z martwieniem się. Co do większej ilości stronic i taniości „Świata Dziewcząt", to wszystko będzie możliwe dopiero wówczas, gdy Świat będzie miał więcej prenumeratorek, a to w dużej mierze zależy od Was, kochane Czytelniczki. Rozpowszechniajcie „Świat Dziewcząt", a pismo będzie coraz piękniejsze.

Hala Mit... Trochę spóźnioną odpowiedź otrzymujesz Halinko, ale mam nadzieję, że nie za późno. Co do odpowiednich kursów dla twojej koleżanki, to jest ich nieskończona ilość, wobec tego napisz nam, jakie miasto, czy miasta, z gatunku choćby powiatowych, są z Waszej okolicy, a postaramy Ci się posłać kilka adresów. Chodzi przecież o to, żeby koleżanka nie potrzebowała zbyt daleko wyjeżdżać, prawda?

Irmo z Grójca, taki miły list napisałaś i tak długo czekasz na odpowiedź. Ale wszystkiemu winne wakacje, podczas których „nie wychodziłyśmy". Oczywiście „Świat" nie jest tylko dla uczenic, ale dla wszystkich młodych dziewcząt, które lubią myśleć, uśmiechać się i poznawać zycie. Z okładki twojej nie skorzystamy niestety, bo jak widzisz sama, mamy teraz stałą okładkę i tylko fotografję umieszczamy. Przytem — hm — ona nie jest jeszcze dobra, ta Twoja okładka, Irmo, trochę źle dobrałaś kolory i rysunek też jest wadliwy. Czy uczyłaś się kiedyś rysować?

Sanoczanko! Bardzo przepraszamy za to „prywatne", ale to jest Wasza trochę wina, że nie napisałyście wyraźnie. Odwołujemy teraz głośno, wołając, że „Prywatne Gimnazjum żeńskie im. Emilji Plater w Sanoku ma prawo publiczności". Czy dobrze już?

Za opis Sanoka i fotografję bardzo dziękujemy, a możebyś o tem napisała do „Świata". To taki ciekawy i ładny temat!

Heluśko, odpisujemy Ci, skruszone, że tak długo czekałaś na odpowiedź. Rzeczywiście, że młodość jak dotychczas ułożyła Ci się niezbyt pogodnie, ale napewno niedługo wszystko się zmieni na lepsze. Najważniejsze, że spotkałaś w życiu człowieka, którego szanujesz i cenisz i do którego masz zaufanie. Napisz jeszcze.

Podlotku, za miły list bardzo dziękujemy. Myślę, że wszelkie zmartwienie, o których pisałaś w swoim liście, są już nieaktualne więc niema co o nich mówić. Cieszymy się, że „Świat" jest taki bliski twemu sercu i czekamy na list.

Morowe sztubaczki. Litery z Waszego listu poprostu spadają z arkusika papieru, z taką werwą są napisane. Gdybyśmy były stare w kratkę i ulizane — może pokiwałybyśmy głowami nad tym listem, ale ponieważ jest wprost przeciwnie (to nie znaczy, że w paski i rozczochrane, tylko, że młode) więc uśmiechamy się ze zrozumieniem. Młodych współpracowników także mamy, ale czy to tylko młodość może dobrze pisać?

Bałagan w liście zemścił się na Was, bo nie przysłałyście rozwiązania „ludzików" na oddzielnej kartce i.. nikt się nie domyślił, że jest ukryta między wierszami listu. A nuż wygrałybyście książkę?

Steńko, zanim „Świat Dziewcząt" zdołał ci odpisać, przeniosłaś się już zapewne do Warszawy i nie narzekasz więcej na brak towarzystwa i rozrywek.

Gdyby nie — napisz prędko do Bratnich Dusz (na oddzielnej kartce, wszystko na oddzielnej kartce), a napewno ktoś Ci odpowie. Pozdrowienia!

Kryska B. napisała kochany i bardzo miły list, że chce być naszą reporterką i... na tem koniec. Czy to był tylko słomiany ogień, Krysiu? Spróbuj coś skrobnąć dla nas. Albo nie, poczekaj, niedługo zamieścimy artykuł — Co to jest reportaż. — Wtedy już będziesz wiedziała co i jak, prawda?

Alinko — jesteś pyszną dziewczyną, masz takie różnorodne i ciekawe zainteresowania! Z tą muzyką może rzeczywiście dać spokój, skoro właśnie do tego masz brak zdolności. A do Bratnich Dusz, napisz Kochanie, na oddzielnej kartce, to odrazu wydrukujemy. Czekamy listu, Alinko!

Janko F., jesteś bardzo przyjemna na tej fotografjce, którą redakcja złożyła w specjalny album prenumeratorek. Temi Bratniemi Duszami nie należy się zbytnio przejmować. To było przed wakacjami, teraz na zimę napewno lepiej pójdzie, więc napisz jeszcze raz, dobrze? Tylko nie „szalej" z radości, bo „Świat Dziewcząt" boi się szaleńców. Zawsze lepiej bez tego.

Jasnotko z ruin, masz już swoje zwierzęta, masę zwierząt, cały warszawski Zoo. Czy ci to wystarcza? A co do rebusów, to i owszem. Bardzo dobry pomysł!

Dzieweczko Polska — był kiedyś wiersz, zdaje się Bełzy, tak właśnie się zaczynający, i odrazu mam ochotę go zacytować, pisząc do Ciebie. Strasznie nam jest przyjemnie, że utrafiłyśmy z pismem tak, jak lubisz. Napisz dzieweczko ,jak się Wam podobają numery powakacyjne.

Bardzo miło, że się znów odezwałaś, *Chinko,* jesteś naszą murowaną korespondentką, co się bardzo chwali. Grunt to wierność, wobec tego ściskamy serdecznie Twoja chińską prawicę.

Nieszczęśliwa z Zawiercia — cóż za ponury pseudonim! A czy w tem nieszczęściu niema czasem twojej winy, Kochana. Myślę, że odrazu niechętnie ustosunkowałaś się do otoczenia, i mrozisz je swoją obojętnością. A że masz inne poglądy. — W twoim wieku zazwyczaj ma się inne poglądy, niż ludzie starsi — ale... nie zawsze ma się rację, jak naprzykład z tem odprowadzaniem.

Zanalizuj siebie, więcej kieruj się sercem, aniżeli złym humorem i... napisz jakie rezultaty.

Yvonne. — Jeżeli tylko będzie można, przyślemy Ci zpowrotem kupony, żebyś sobie „załatała" powieść. A wogóle, ponieważ mieszkasz w Warszawie, możemy Ci donieść przyjemną nowinę, że „Świat Dziewcząt" ma zamiar urządzać zebrania „klubowe" ze swemi Czytelniczkami. Czy przyjdziesz na takie zebranie, Yvonne?

Olga b. martwi się, że jest najstarsza z prenumeratorek „Świata", bo ma już 17 lat. Droga Olgo! Raczej mamy prenumeratorki w Twoim wieku, niż inne.

Masz zupełną rację, starając się o zjednanie nam więcej prenumeratorek. Im będzie ich więcej, tem „Świat" będzie lepszy. Już teraz myślimy o zwiększeniu ilości stron, ale... ciągle jeszcze nie możemy. Więcej, więcej prenumeratorek!

Katiuszo. — Przedewszystkiem serdecznie Ci winszujemy przebrnięcia przez maturę. Co za rozkosz mieć już to poza sobą! Co teraz myślisz robić, czy masz zamiar poświęcić się dziennikarstwu? Przyślij nam coś, Reporterko, a powiemy, czy warto się do tego wziąć. Posyłamy Ci serdeczne pozdrowienia i czekamy listu, Katiuszo!

Czar Duszku. — Do bratnich Dusz zamsze trzeba posyłać znaczek, gdyż taki list musi przecież często wędrować dalej, a Redakcja zbankrutowałaby, gdyby musiała własne znaczki przyklejać. Czy teraz już jasne?

KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. FOTO-CHEMIGRAFICZNYCH TOW. WYD. „BLUSZCZ"

Warunki prenumeraty: rocznie — zł 12 — półrocznie — zł 7.— kwartalnie — zł 3.50, miesięcznie — zł 1.30.

Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy, szerokość 1 łamu [illegible] mm [illegible] łamie [illegible] strona 720 — zł

Redaktorka: Zofja Popławska. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-08. **Konto P. K. O. Nr. 18.800**

Redaktorka przyjmuje we wtorki od 4 do 5, czwartki od g. 5½ do 6½.

Sekretarjat czynny: poniedziałki i środy od g. 14 do 16, piątki i soboty od 10 do 12.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 5-87-05.